

## Jaka nowoczesność?

Nie mając dostępu do władzy konserwatyści mieli czas na myślenie. I trzeba przyznać, że porządnie pewne rzeczy przemyśleli



Nie mając dostępu do władzy konserwatyści mieli czas na myślenie. I trzeba przyznać, że porządnie pewne rzeczy przemyśleli - przeczytaj tekst z tomu konferencyjnego *Konserwatyzm. Państwo. Pokolenie. Pamięci Tomasza Merty*



**Pobierz tom za darmo - pdf**

Być może jedną z głównych przyczyn naszej podróży w przeszłość jest centralne zagadnienie obecnej doby, które można najkrócej ująć w pytaniu: co dalej po Smoleńsku? To pytanie robi się coraz pilniejsze, i to nie tylko w wymiarze indywidualnym. Z pewnością musi odpowiedzieć na nie środowisko polskich konserwatystów dla których katastrofa jest końcem pewnego świata, który współtworzyli, a który dziś nie istnieje. Ten świat skończył się zarówno za sprawą śmierci poszczególnych osób, jak i dramatycznego końca pewnych instytucji, takich jak środowisko istniejące wokół Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, rada, którą wokół siebie gromadził Rzecznik Praw Obywatelskich, Rada Pamięci i Męczeństwa, w postaci, którą tworzył Andrzej Przewoźnik, czy wreszcie szereg przedsięwzięć, które inicjował i tworzył Tomasz Merta. Ten świat się skończył i warto zadać sobie pytanie: czy możliwy jest powrót do *status quo ante* i czy taki powrót miałby dziś sens? Czy wyzwania obecnej doby nie są inne? Czy program na podstawie którego tworzono te instytucje jest nadal aktualny? Konferencja poświęcona Tomaszowi Mercie jest dobrą okazją do zadania tych pytań. Mam nadzieję, że rozmowa o instytucjach konserwatywnego pokolenia może

być dobrym punktem wyjścia do takiej rozmowy.

Myśląc o instytucjonalnej działalności środowiska konserwatywnego uderza bardzo duża spójność przedsięwzięć tworzonych przez reprezentantów jednego w istocie pokolenia. Oprócz instytucji, które reprezentują paneliści, mam na myśli zwłaszcza zakładane przez Piotra Dardzińskiego CMJP2, krótkotrwały byt, jakim był Instytut Dziedzictwa Narodowego, którym kierował Tomasz Merta, czy Instytut Adama Mickiewicza, należący do grupy instytucji tworzonych przez Roberta Kostro, Tomasza Mertę i ówczesnego ministra Kazimierza Ujazdowskiego, ale również liczne redakcje, wydawnictwa i instytucje charytatywne. Skąd się wzięła taka, a nie inna działalność instytucjonalna tego szeroko pojętego środowiska?

Pokolenie, do którego należał Tomasz Merta bardzo późno dorosło do mówienia swoim głosem. Kiedy jego przedstawiciele doszli do wieku, gdy czeladnicy wyzwalają się na mistrza, nieoczekiwanie skończyła się rzeczywistość którą uczyli się rozumieć, padł PeeReL i zaczęło się coś czego dobrze nie rozumiał wtedy nikt. To była dla nas bardzo trudna próba. Jeszcze przez pewien czas sądziliśmy, że nasi mistrzowie wiedzą co się wokół dzieje, że orientują się lepiej od nas. Jednak po mniej więcej dwóch, trzech latach okazało się, że w tak nie jest, że rozumieją znacznie mniej, za to dużo chętniej posługują się intelektualnym kalkami wziętymi z retoryki ówczesnych transformatorów, albo innych źródeł niedrogich idei z drugiej ręki. To były czasy, kiedy wszyscy działali trochę wbrew sobie. Na opak – w przekonaniu że tak trzeba. Liberałowie zajmowali się budowaniem instytucji państwowych. Socjaliści tworzyli rynek. Postkomuniści pielęgowali tradycję (peerelowską rzecz jasna). A konserwatyści zajmowali się modernizacją, albo jeśli się nie zajmowali – bo przy warsztacie raczej brakowało dla nich miejsca, to przynajmniej dużo o tej sprawie gadali.

Nie mając dostępu do władzy konserwatyści mieli czas na myślenie. I trzeba przyznać, że porządnie pewne rzeczy przemyśleli. Jednym z takich miejsc gdzie próbowano wtedy zrozumieć co się w Polsce dzieje był Warszawski Klub Krytyki Politycznej, w którym regularnie spotykaliśmy się wraz z Tomkiem Merta, Markiem Cichockim i Darkiem Gawinem na solidnych filozoficznych seminariach o Polsce, transformacji i wspólnocie. Pozornie naszym punktem wyjścia było pytanie: jaki konserwatyzm? Ale tak naprawdę chodziło nam o pytanie: jaka ma być nowoczesność. To ono było tu kluczowe. To było kluczowe pytanie polskiego konserwatyizmu lat 90tych. Zamiast rozmowy – czym jest konserwatyzm, na czym polega, jakie ma cele, rozmawialiśmy o tym: jak ma wyglądać nowoczesność, którą gotowi bylibyśmy zaakceptować i którą chcielibyśmy w Polsce widzieć, i – co bardzo ważne - jaka nowoczesność jest w Polsce możliwa.

Żyliśmy w czasach dominacji niezwykle jednorodnego dyskursu. Proponowany – jako bezalternatywny - projekt zmian uważaliśmy za niemądry, nierealistyczny i szkodliwy. Nasza odpowiedź nasza była w gruncie rzeczy dość prosta: nowoczesność musi być nowoczesnością polską albo jej nie będzie. Był to okres bardzo gwałtownych rozmów o polskiej kulturze politycznej. Już wtedy widać było zasadniczą różnicę wyjściowych diagnoz między dominującym środowiskiem liberalno lewicowym a malutką wtedy grupką konserwatystów. Bo też nie można stwarzać fałszywego wrażenia – tych ludzi było tyłu, że można ich było policzyć na palcach dwóch rąk. Pamiętam, jak podczas promocji którejś z naszych książek w Krakowie profesor Legutko mówił, że kiedy usłyszał o naszym klubie, poczuł, że nie jest tak osamotniony. To jest dokładnie takie uczucie, jakie myśmy mieli, gdy wyszły jego pierwsze eseje, albo gdy zetknęliśmy się z prof. Zbigniewem Stawrowskim.

Obowiązująca wtedy diagnoza wyjściowa była taka, że w Polsce wspólnoty jest za dużo, i to wspólnota miała być największym

zagrożeniem dla nowoczesności. Punktem wyjścia naszego myślenia było przekonanie, że jest wręcz odwrotnie, że wspólnoty, solidarnej wspólnoty jest za mało, że komuna zostawiła nas pod tym względem w naprawdę opłakanym stanie. Wszystko, co się potem stało, potwierdziło, że mieliśmy rację. Zresztą co bardzo zabawne – nawet dziś wycofywanie się z tych starych diagnoz dokonuje się po cichu. Mówi się, że jest bardzo niski poziom zaufania społecznego, społecznego kapitału i różne takie. Z przerażeniem patrzyliśmy jak ekipa transformacyjna funduje Polskę, zimne państwo, przed którym przestrzegał Ralph Dahrendorf w głośnym artykule na łamach „Tygodnika Powszechnego”. W imię fantazji o groźbie czającego się nacjonalizmu mieliśmy stać się wspólnotą pozbawioną elementów tożsamościowych. Opowiadał jeden ze znajomych filozofów o tym, jak przygotowywał dla premiera Mazowieckiego przemówienie, z którego w ostatniej redakcji starannie wykreślono wszystkie elementy wspólnotowe. Był bardzo wyraźny lęk przed wszystkim, co mogło nadawać wspólnocie jakąś temperaturę. Myśmy uważali, że wspólnoty jest za mało – i że bez niej transformacja nie może się udać – bo będzie transformacją brutalną, że pilnie trzeba budować wspólnotę gotową do współpracy i poświęcenia, że prostoduszny liberalizm nie jest pomysłem na trudne czasy. Te idee wróciły w projekcie IV RP – wtedy, w latach 90. powiedzmy to wyraźnie stanowiły absolutny margines.

Odpowiedzią na pomysł zimnego państwa był – nazwijmy to tak – projekt nowoczesnego republikanizmu, który – co było dla nas bardzo ważne, miał mieć charakter afirmatywny, nie reaktywny. Uważaliśmy, że republikanizm powinien być wolny od negatywizmu: nie być ani antylewicowością, ani antyliberalizmem, ani, co było wtedy bardzo popularne na prawicy, anty-aborowością. Miał być sobą. Projektem pozytywnym. I rzeczywiście Adam Michnik nie był naszą obsesją i w ogóle więcej pisaliśmy na „tak” niż na „nie”. Mieliśmy wrażenie, że popularny wtedy na prawicy reaktywizm jest fatalnym błędem nie tylko

dlatego, że jest jałowy, ale dlatego, że prawo do tworzenia agendy oddaje ideowemu przeciwnikowi. Afirmacja, nie reaktywność, to była sprawa kluczowa.

Jakie były składowe projektu nowoczesnego republikanizmu dobrze widać w instytucjach tworzonych przez nasze (szeroko pojęte) środowisko takich jak: Muzeum Powstania, Centrum Myśli Jana Pawła 2 i wiele innych. Za najważniejsze uznałbym cztery zasadnicze problemy. One – jak sądzę – zdecydowały dlaczego obok mnie siedzą szefowie takich, a nie innych instytucji – w których duch tego projektu jest z pewnością obecny.

Nowoczesny republikanizm to bardzo silny akcent na kwestię tożsamości i pamięci. Pamiętajmy, że w latach 90. sprawa tradycji nie była, ani łatwa ani prosta. Bardzo pilnowaliśmy żeby nie mylić konserwatyzmu z tradycjonalizmem. W owych czasach najlepszymi tradycjonalistami byli przecież postkomuniści. Nie wszystko warto zachować – ale budować można tylko na tym co jest i tylko z tego, co jest. Dotyczy to sposobu myślenia, instytucjonalnej tradycji, odruchów i idiosynkrazji. Nowoczesność abstrahująca od istniejącego budulca nie może się udać. Polska nowoczesność nie może być nowoczesnością ani z Francji, ani z Anglii, ani, co było najpopularniejszą opcją, nowoczesnością ze strefy wolnościowej, czyli tak naprawdę znikąd. Z drugiej strony czaiło się inne ryzyko. Zdawaliśmy sobie sprawę, że konserwatyzm w warunkach post komunistycznej Polski jest obarczony dużym ryzykiem konstruktywizmu. Przy odrobinie nieuwagi konserwatysta może zmienić się w rewolucjonistę.

Drugi temat obok pamięci to kwestia sprawiedliwości. Początek lat 90. to czasy, kiedy poprzez zawieszenie dyskusji o lustracji nowa Polska została pozbawiona momentu konstytuującego ją jako wspólnotę polityczną (ten termin wprowadziliśmy do obiegu, żeby uniknąć tego

sporu o naród, który wydawał się całkowicie niekonkluzywny). Wzorem Arystotelesa, jednego z naszych mistrzów, którego wtedy dużo czytaliśmy przyjmowaliśmy, że wspólnota polityczna to przede wszystkim wspólnota ludzi, którzy dyskutują o sprawiedliwości. Ustalanie co jest dobre co złe, co sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe to jest ten moment konstytutywny. W wyniku zakneblowania dyskusji o lustracji Polacy nie podjęli wspólnego wysiłku powtórnej redefinicji swojej tożsamości politycznej. Polska została pozbawiona szansy na określenie gdzie - mówiąc umownie - znajdują się granice polskości. Sytuacja życia we wspólnocie politycznej, która nie jest w stanie się dogadać, co do tego, kto jest zdrajcą, a kto bohaterem, co dla niej pożyteczne a co szkodliwe jest bardzo przejmującą miarą tego, co się nie wydarzyło. Jesteśmy wspólnotą bez rzeczywistej konstytucji. To duży problem, z którym musimy się borykać.

Trzecim elementem konstytutywnym dla projektu nowoczesnego republikanizmu z całą pewnością była Solidarność. Oczywiście miało to pewien wymiar polemiczny, bo działo się w czasach przeproszania za Solidarność nie tylko w sensie anegdotycznym, ale w sensie pewnej istotnej próby wycofania się i zrewidowania, a nawet zapomnienia o tradycji Solidarności. Proszę mi wierzyć, że kiedy w 2000 r. robiliśmy konferencję o Solidarności, to w środowiskach akademickich i politycznych nasze zainteresowanie odbierano jako „ekstrawagancję intelektualną”, jeśli nie głupstwo. Pamiętam bardzo gwałtowne rozmowy w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica, kiedy znaczna część panelistów mówiła: „To bzdura! Nie ma się czym zajmować, to jest jakaś przeszłość nieistotna, nie ma w ogóle do czego wracać, jakaś taka historia, może dla historyków intrygująca, żadne ważne przesłanie”. Zainteresowanie tej garstki konserwatystów Solidarnością brało się z przekonania, że jeśli nie zostaną stworzone warunki na powstawanie i konserwację odruchu solidarnościowego, to transformacja niesolidarna doprowadzić może do wielkich kłopotów.

Wreszcie aspekt czwarty to przekonanie, że nowoczesny republikanizm, różni się od tradycjonalizmu i konserwatywnego liberalizmu referencją transcendentalną – odniesieniem do Boga i do chrześcijańskiej tradycji - w wymiarze kulturowym i metafizycznym. Mieliśmy bardzo mocne przeświadczenie, że nowoczesność republikanizmu nie może być nowoczesnością z kosmosu. Stąd wynikała nasza trudność w zrozumieniu kolegów, którzy wyobrażali sobie Polskę jak taką Francję z podręcznika modernizatora, bo wcale nie empiryczną Francję. Irytowało nas kiedy o polskiej nowoczesności mówiono abstrahując od polskich realiów zapominając np., że Polska nowoczesność wywodzi się z polskiego – nie z francuskiego - oświecenia. Dlatego tak często spieraliśmy się z koncepcją nieuchronnej rzekomo sekularyzacji. To przekonanie, że warunkiem nowoczesności są puste kościoły wydawało się nam niedorzeczne. Żartowałem z kolegów liberałów, że to nie jest tak, że autostrady powstaną wtedy, gdy się zsekularyzuje społeczeństwo, lecz kiedy Polacy dojdą do wniosku, że to jest najlepszy pomysł na zorganizowanie sprawnych pielgrzymek do Częstochowy. Istnieje w Polsce bardzo istotne iunctim między nowoczesnością a chrześcijaństwem. Dariusz Gawin napisał kiedyś, że różnica między francuskim a polskim oświeceniem jest taka, że tam wieszano księży, a u nas księży to oświecenie „robili”. Tam w akcie rewolucyjnym poszli poderżnąć gardła biskupom, a u nas po uchwaleniu Konstytucji 3 maja wszyscy poszli do katedry zaśpiewać Te Deum. Kto tych różnic nie rozumie, okazuje się bezradny wobec Polskiej rzeczywistości. Nie rozumie co ją tworzy i co ją napędza.

*Dariusz Karłowicz*